



POLSKA ZBROJNA



1 sierpnia 2018 roku, 74. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

Grupa powstańców
na barykadzie o nieusta-
lonej lokalizacji (praw-
dopodobnie rejon ulic
Brackiej, Nowogrodzkiej
i Żurawiej).

Fot. Marian Grabski
„Wyrwa”/MPW



TWOJE DZIECI WARSZAWO

Pokolenia utracone

Co do jednego zgadzamy się wszyscy – pierwsze niepodległościowe pokolenie, które w Warszawie zbrojnie wystąpiło przeciwko Niemcom, to być może jeden z najwartościowszych ludzi, jakich miała umęczona okupacją Polska. Należało ich chronić jako zasiew przyszłości. Dlatego utrudą jest myślenie o doświadczeniu powstania w kategoriach historii zamkniętej, policzonej, przepracowanej. Nieprawdą jest, że obraz tej narodowej traumy z czasem zblaknie. Straty powstania, mierzone statystyką, są zmienną, która wciąż rośnie, wciąż się powiększa. Ta najszlachetniejsza odsłona przerwane go młodego życia

oddanego Polsce, rzuconego do jej stóp, ma swój dalszy ciąg przekraczający tajemnicę śmierci. Jest nim nieobecność pokoleń utraconych, pustka między nami. Nie narodziły się dzieci poległych powstańców, nie będzie ich następców. Historia z czasem płowieje, staje się tłem, na którym mocno odcina się życie współczesnych. Ale format tamtych ludzi to wciąż pierwszy plan. Musimy być warci tej ceny.

Anna Putkiewicz
redaktor naczelny kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”



Pamięć i pomoc

Szanowni Państwo,

1 sierpnia oddajemy hołd wszystkim Bohaterom, którzy przez 63 dni Powstania Warszawskiego nieustępliwie walczyli z Niemcami. Dali przykład wyjątkowego heroizmu, odwagi i bezgranicznej miłości do Polski.

Powstańcy pozostawili nam niezwykłą spuściznę. Kolejnym pokoleniom Polaków przekazali bezcenny dar – wzór oddania Ojczyźnie, patriotyzmu i ducha narodu, którego nie można złamać.

Mimo upływu 74 lat od godziny „W” nadal są wśród nas ci, którzy stanęli wówczas do boju. By uczcić ich waleczność i pomóc Powstańcom, w Ministerstwie Obrony Narodowej stworzyliśmy program „Wdzięczni Bohaterom”. Kierowaliśmy się zasadą: pamięć jest najważniejsza, ale realna pomoc też potrzebna. W ten sposób chcemy podziękować Powstańcom za to, że żyjemy w niepodległej Polsce i możemy cieszyć się wolnością.

Dlatego 1 sierpnia o godzinie 17.00 zatrzymamy się na minutę. Dźwięk syren i niemy salut Polaków to symbol naszego szacunku dla Bohaterów tamtych dni.

Mariusz
Błaszczak
minister
obrony
narodowej



Nazywali mnie

Z Juliuszem Kuleszą „Julkiem”, ostatnim żyjącym obrońcą Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych z grupy PWB/17/S, rozmawia Piotr Korczyński.

Dlaczego szesnastoletni chłopak idzie do walki prosto z ulicy, praktycznie bez przeszkolenia wojakowskiego?

W moim przypadku fundamentem było zainteresowanie historią, szczególnie polskimi powstaniami. Naczytałem się o insurekcji kościuszkowskiej, Powstaniu Listopadowym i Styczniowym, ale byłem świadomy, że jest to dla mnie abstrakcja, nie doświadczyłem bowiem udziału w walkach. Zatem gdy nagle w Warszawie wybuchło powstanie, był to dla mnie sygnał – elektryczna iskra. To, co dotychczas było teorią znaną z książek, stało się rzeczywistością! Po prostu nie było możliwości, bym nie wziął udziału w powstaniu. Poczułem się jak żołnierz spod Olszynki Grochowskiej.

Od 1942 roku był Pan praktykantem rysownikiem w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Jak Pan został żołnierzem PWB?

Po załamaniu się 2 sierpnia niemieckiej obrony w PWPW od razu zgłosiłem się do kpr. Romana Marchela „Roma”. To był dowódca drużyny broniącej bloku mieszkalnego PWPW. Świetny żołnierz i bardzo dobry człowiek, o czym niejednokrotnie przekonałem się w toku walki.

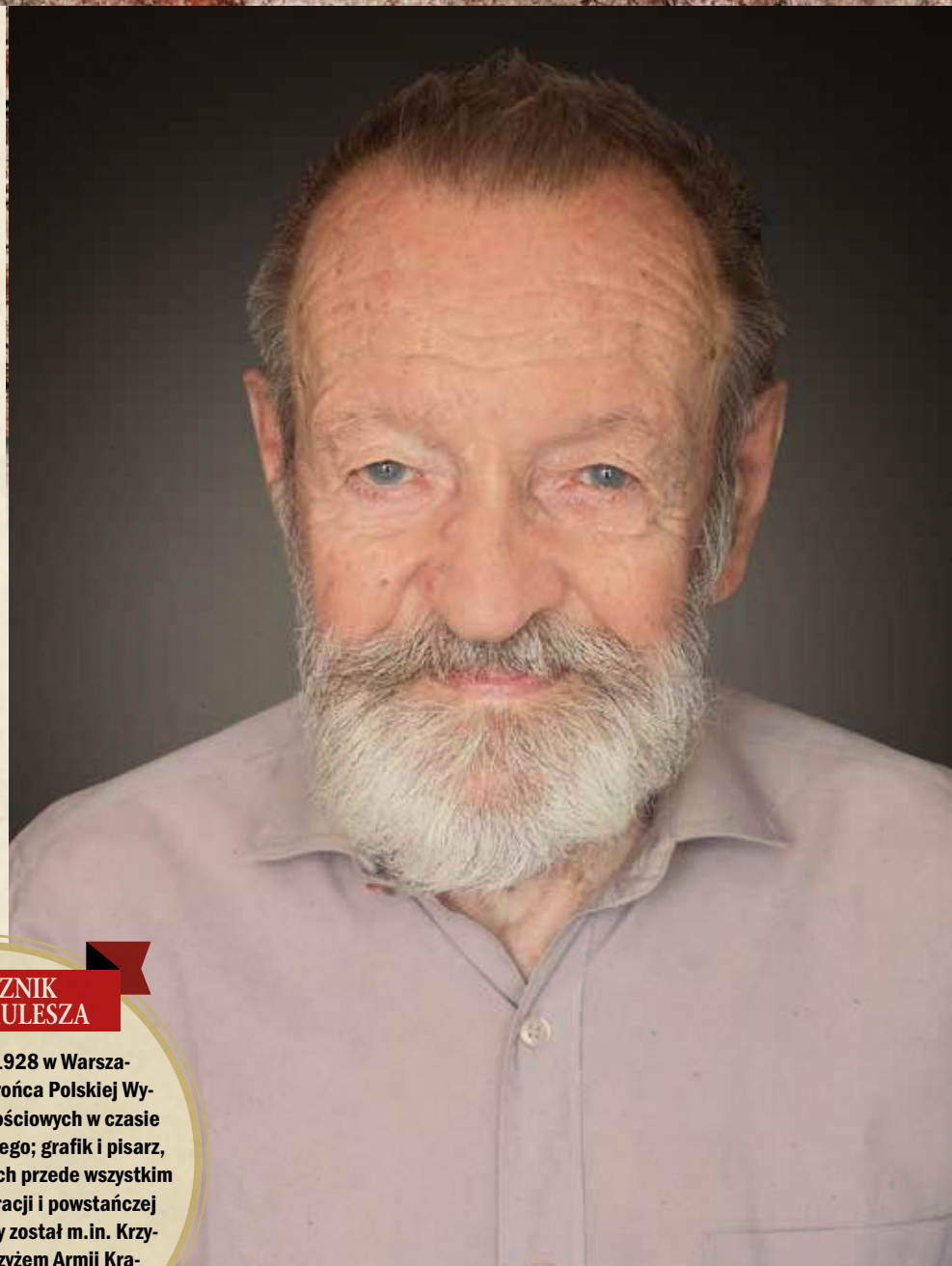
Początkowo byłem jego łącznikiem. Od pierwszych chwil powstania odczuwałem młodzieńczą satysfakcję, że znalazłem się na pierwszej linii walki, czyli nie byłem tzw. tyłowcem. Przed nami był już tylko Fort Legionów i cała Cytadela zajęta przez Niemców. Nasza drużyna, obsadzając blok mieszkalny, nie tylko jako pierwsza przyjmowała ataki piechoty niemieckiej, lecz była także pod ostrzałem artyleryjskim ze stopiątek, czyli dział sporego kalibru ustawionych na wysokości ogrodu zoologicznego. Gdy nieprzyjacielskie działa były zza Wisły, nasz blok stanowił parawan dla właściwej reduuty, w jaką zmieniała się PWPW. Niemcy rozpoczęli ostrzał artyleryjski 9 sierpnia. Na skutek tego ognia straciliśmy dwóch kolegów. Obaj ciężko ranni nie wrócili już do służby. Jednego z nich Niemcy zamordowali w szpitalu zorganizowanym w PWPW po jej zdobyciu.

Mówiąc o obronie wytwórni, należy pamiętać, że – inaczej niż dzisiaj – wokół jej kompleksu nie było ani jednego drzewa. Od strony Fortu Legionów to był zupełnie odsłonięty „płaskowyż” – trawnik biegnący w stronę PWPW. Atak frontalny skończyłby się więc dla Niem-

ców masakrą. Natomiast blisko bloku mieszkalnego, stojącego na skraju kompleksu PWPW, w kierunku Wisły biegły tory kolejki, którą dostarczano węgiel z Dworca Gdańskiego do elektrowni na Powiślu. W wąwozie tego torowiska atakujący nas Niemcy przez dłuższy czas byli dla nas niewidoczni i bez strat mogli podejść do działek warzywnych, które przylegały bezpośrednio do bloku. To z tych warzywniaków w dniach 22, 23 i 24 sierpnia niemiecka piechota rozpoczęła szturm na PWPW, a dokładnie na nasz blok. Na początku broniliśmy się sami, potem otrzymaliśmy wsparcie w postaci oddziałów Zgrupowania „Leśnik” ppłk. Jana Szypowskiego „Leśnika”.

Który moment obrony reduuty PWPW był dla Pana najdramatyczniejszy?

Bez wątpienia były to wspomniane niemieckie szturmy 23 i 24 sierpnia. Początkowo kwaterowaliśmy w piwnicach bloku, ale z czasem, wobec coraz większych zniszczeń, przenieśliśmy się do najbliższego, oddzielnego tylko wąskim podwórkiem, budynku PWPW będącego magazynem farb drukarskich. 23 sierpnia po południu prawie cała nasza drużyna była na kwaterze, bo „Rom” zaprosił na obiad dwóch oficerów: zastępcę dowódcy naszej grupy por. Czesława Lecha „Białego”, który zginął w ostatnim dniu obrony, oraz dowódcę tzw. wolskiej kompanii Zgrupowania „Leśnik” kpt. Stanisława Stefaniaka „Stefana”. Obaj byli odważnymi i dzielnymi oficerami. Kiedy jedliśmy zupę, szumnie nazywaną obiadem, nagle rozpoczął się nalot lotniczy. Sztukasy zaczęły zrzucać bomby prosto na nasz blok mieszkalny, w którym zostały na posterunku czujki. Niemcy mieli doskonałą synchronizację działań. Jeszcze dym nie zdążył opaść po wybuchu ostatniej bomby lotniczej, gdy do ataku ruszyła już ich piechota. Nasi goście szybko pobiegli do swoich oddziałów, a nas „Rom” poderwał, byśmy wracali na stanowiska w naszym bloku. Przeskoczyliśmy przez podwórze, a tutaj powitał nas ogień broni maszynowej. Okazało się, że wróg zajął już nasz budynek, a czujki zostały zmuszone do



**PORUCZNIK
JULIUSZ KULESZA**

urodzony 19 maja 1928 w Warszawie, ostatni żyjący obrońca Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych w czasie Powstania Warszawskiego; grafik i pisarz, autor książek opisujących przede wszystkim dzieje polskiej konspiracji i powstańczej Warszawy. Odznaczony został m.in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej oraz Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

wycofania! Cóż, trzeba było wziąć się za odbijanie utraconej pozycji. Przesłaliśmy meldunek do komendy obrony PWPW i po chwili otrzymaliśmy wsparcie – dziesięcioosobowy oddział por. Mariana Gorzkowskiego „Szarego”, świetnego oficera (otrzymał trzy razy Krzyż Walecznych oraz Virtuti Militari – wszystko za powstanie). Zaczęło się odbijanie bloku, a dokładnie kilka prób jego odbicia.

Kiedy pod wieczór okazało się, że mimo opanowania części budynku nie zdołamy wykurzyć Niemców, a właściwie ich wschodnich pomagierów – Białorusinów i Ukraińców, nasi dowódcy postanowili obejść budynek od ulicy Zakątnej schodami w dół biegnącymi przy ślepej jego ścianie. Trzeba tutaj wyjaśnić, że blok był wbudowany w skarpe i to, co było parterem z tyłu budynku, stanowiło pierwsze piętro od frontu, czyli od strony Wisły. Tam, według naszych informacji, siedzieli ci kolaboranci. Zeszliśmy cicho schodami już o zmierzchu. Schodziłem czwarty albo piąty, a nasz dowódca Roman Marchel przesunął się równolegle do nas z nieodłącznym szmajserem, by nas ubezpieczać. Zatrzymaliśmy się na dole przed rzędem okien – niedużych,

kwadratowych, z nisko umieszczonymi parapetami. Słyszeliśmy głosy niemieckich żołnierzy. Wtedy podszedł do mnie „Rom”, który oprócz swojej siódemki miał dwie butelki z mieszkanką zapalającą, i szepnął: „«Julek», butelki w drugie okno”. Przez sekundę się zawahałem, poczułem ukłucie strachu, bo musiałem przebiec przed pierwszym oknem. Dziś już wiem, że Niemcy nie zdążyliby do mnie strzelić, ale wtedy przez mgnienie sekundy zadrżało mi serce. Jednak byłem na tyle ostrzelany, że skoczyłem i rzuciłem obie butelki we wskazane okno. Mentalnie rozlało się wewnątrz morze ognia, a ja wyrwałem pistolet zza paska, a za mną skoczyli koledzy, krzycząc „Hurra!”. W tym momencie odezwały się we mnie wszystkie historyczne lektury: Przyborski, Sienkiewicz, Żeromski, i krzyknąłem na całe gardło: „Niech żyje Polska!”. Jak w jakimś teatrze. Zdawałoby się, że w takim zamieszaniu nikt tego nie zauważy, a jednak nie. Jeszcze długo po wojnie moi koledzy, którzy wtedy ruszyli za mną do szturm, na mój widok krzyknęli: „Niech żyje Polska!”. Przez wiele lat nawet się wstydiłem, że byłem taki egzaltowany, ale teraz już nie. To dowód, z jakim entuzjazmem szliśmy do walki.



1 Niemieckie działo samobieżne przed ruinami PWPW



2 Kpr. Roman Marchel „Rom” z grupy szturmowej PWB/17/S ze zdobyczym MP-40

Czy wtedy udało się Wam odbić budynek?

Niestety i trzecia próba zakończyła się niepowodzeniem. Nie udało się przekazać nam przed atakiem bardzo istotnej informacji. Mianowicie, że nasza pozycję z prawej strony, czyli na ulicy Rybaki 32, flankowała szkoła imienia Emilii Plater, którą Niemcy w czasie wojny zamienili w magazyn mundurów zimowych. Po jego zdobyciu nasza drużyna nosiła wyciągnięte stamtąd watowane kurtki i spodnie. Szkołę tę utrzymywał Batalion „Dzik” oraz 104 kompania syndykalistów, a raczej nie tyle szkołę, ile jej ruiny. Nie wiedzieliśmy o tym, że równocześnie ze zdobyciem naszych pozycji Niemcy opanowali i szkołę. Byliśmy przekonani, że od tej strony nic nam nie grozi. W momencie, gdy „Rom” krzyknął: „Chłopa-ki, kończyć ogień, wskakujemy!”, nagle zaczął kosić nas ogień karabinów maszynowych prowadzony ze szkoły. Wtedy straciliśmy kolegę Andrzeja Stankiewicza „Granita”. Przy czym „Rom” od razu się zorientował, co się dzieje, i zakomenderował: „Chłopa-ki, spokojnie, bez pośpiechu, wycofujemy się”.

Wyszliśmy z powrotem do góry. Marchel wysłał mnie wtedy po granaty do PWPW. Wróciłem nimi obładowany, a na kwaterze pusto. Zauważyłem tylko, że pod tą samą ścianą bloku, przy której niedawno schodziliśmy do ataku, znowu ustawiają się ludzie. Nie widziałem wśród nich moich kolegów, ale dołączyłem na koniec szeregu. Schodziliśmy schodami w ciszy. Musiało być już dobrze po północy. Przeskoczyliśmy przez okno, w które wrzuciłem niedawno butelki z benzyną, i szliśmy dalej cicho, brodząc w wodzie, która zalewała budynek na skutek uszkodzenia rur. Po Niemcach zostały tylko ślady po ich rannych. Przez cały czas wypatrywałem kogoś znajomego, ale nikogo nie mogłem rozpoznać. Dopiero później dowiedziałem się, że towarzyszyłem żołnierzom „Leśnika”. Pozostałem z nimi do świtu. Kiedy dwóch z nich wychodziło

z jakimś rozkazem, wykorzystałem okazję i poszedłem razem z nimi. Ponownie wróciłem na kwaterę, a tam mój przyjaciel „Bill” – Leszek Biliński gotował zupę w garnku. Reszta kolegów spała pod ścianami. Okazało się, że w międzyczasie naszą drużynę wycofano, a blok został odzyskany, bo Niemcy się wycofali.

Rano 24 sierpnia znowu byliśmy na naszych starych pozycjach. Ten dzień był o tyle charakterystyczny, że zaczął się euforią, a zakończył rozpaczą. Do południa był spokój. Postanowiłem więc odwiedzić rodziców, którzy przebywali w jednym ze schronów na terenie PWPW. Traf chciał, że spotkałem tam mojego ciotecz- nego brata, pchor. Janusza Gawdzika „Kruka”, żołnierza Batalionu „Miotła” ze słynnego plutonu „Torpeda”. Razem z kolegą został wysłany do PWPW po zaopatrzenie. Miotlarze bronili wtedy szpitala Jana Bożego. Rozmawialiśmy kilka minut, kiedy nagle korytarzem wbiegł żołnierz z naszej drużyny, Tadek Sztora „Pchełka”, i krzyknął: „«Julek», natarcie na mieszkalny!”. Ucisnąłem tylko rękę bratu i pobiegłem z powrotem. Nie przypuszczałem, że widziałem Janusza ostatni raz w życiu. Zginął następnego dnia, gdy wycofywali się z Jana Bożego...

Czy sytuacja była tak dramatyczna, jak powiadomił Pana „Pchełka”?

Gdy wróciłem, rzeczywiście trwało już natarcie na nasz blok. Cztery godziny Niemcy prowadzili fałowe ataki. Byliśmy wtedy górą, w euforii, jak już powiedziałem. Oni się podrywali, dostawali ogień i wycofywali, zostawiając kolejnych zabitych. Tych naliczyliśmy około dwudziestu. Taka sytuacja utrzymywała się do 16.00. Gdy niemiecka piechota zalegała, nadlatywały sztukasy, żeby nas z góry

„zmiękczyć”. W czasie jednej z krótkich przerw w natarciu „Rom” wskazał mi leżącego najbliżej drzwi zabitego Niemca i powiedział: „«Julek», nie wyskoczyłbyś po jego karabin?”. Proszę zauważyć, on mi nie rozkazał, tylko poprosił, bo wiedział, że wiąże się z tym duże ryzyko, ponieważ Niemcy ostrzeliwują to miejsce z warzywniaka. Może nawet i odmówiłbym, ale spostrzegłem, że tego trupa obserwują także żołnierze „Leśnika”, a między nami była rywalizacja. Dotarli do nas po ciężkich walkach na Muranowie i uważali się za lepszych wiarusów od nas, bardziej ostrzelanych. Wyskoczyłem więc i w tej jednej sekundzie, kiedy chwyciłem karabin, zauważyłem, że Niemiec ma na ręce związane co najmniej trzy zegarki. Uświadomiłem sobie, jak oni rabowali... Gdy przyniosłem karabin, poczułem się takim bohaterem, że postanowiłem zabrać broń i innym trupom. Wymyśliłem, że wyrwę w piwnicy rurę wodociagową i zrobię sobie bosak, którym będę ściągał za paski kolejne karabiny.

Kiedy mocowałem się z rurą w piwnicy, usłyszałem nagle z góry krzyki: „Czołg, czołg!”. Jak się później okazało, to nie był czołg, tylko działo szturmowe. Zaraz nastąpił wybuch, a po nim krzyki i jęki rannych. Rzuciłem rurę i pobiegłem do zajmowanych przez nas suterren. Kiedy znalazłem się w korytarzu, najpierw zobaczyłem wyłaniającego się z kłębow dymu i gruzowiska „Roma”. Wie Pan, to był bardzo dobry dowódca, wspaniały człowiek. Uważaliśmy go prawie za superbohatera, którego kule się nie imają. Z przerażeniem dostrzegłem jednak, że jedną ręką zasłaniał zakrwawioną głowę, a drugą obmacywał ścianę. Oślepiiony wybuchem, niezdarnie brodził w wodzie z podziurawionych rur. Nie myślałem o niczym tylko o nim. Skoczyłem do niego i chwyciłem pod rękę, żeby go odprowadzić do szpitala w wytwórni. Nic nie było dla mnie ważniejsze: „«Rom» ranny, Jezus, Maria!”.

I wtedy nastąpił moment, który potwierdził opinię o nim. Ranny, zszokowany, oślepiiony – człowiek w takim stanie ma prawo myśleć tylko o sobie, a on rozkazał mi: „Ja sam dojdę, ratuj «Bacika»!”. W takiej chwili nie myślał o sobie, tylko o swoim żołnierzu, który także został trafiony. Zostawiłem go i wbiegłem do suterenu. Zobaczyłem, jak dwóch kolegów dźwiga z wody Kazimierza Berezieckiego „Bacika”, a to było ciężkie chłopisko, co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. Podskoczyłem, żeby im pomóc. Wyciągnęliśmy go z wody, co było dość trudne, bo jego mokre ubranie było śliskie. W pewnym momencie wysliznął się nam z powrotem do wody. Wyciągnęliśmy go. Zauważyłem wtedy wielką czerwoną plamę krwi po stronie jego serca. W międzyczasie pojawiła się sanitariuszka z noszami i pędem pobiegliśmy do szpitala, do doktor Hanny Petrynowskiej „Rany”. Niestety, zamordowanej przez Niemców po zdobyciu PWPW, gdyż zdecydowała się pozostać z rannymi.

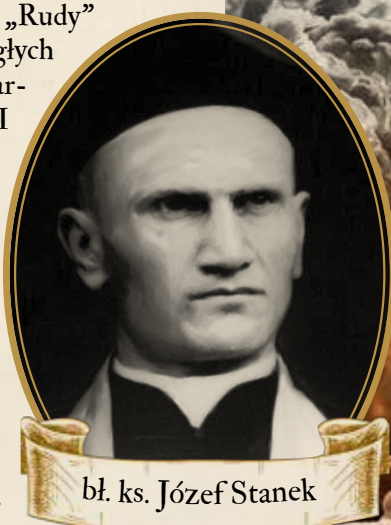
To bardzo dramatyczna chwila...

I ta chwila, kiedy przybiegliśmy do niej, stanowi dla mnie do dzisiaj znak zapytania. Byliśmy bowiem przerażeni, że z powodu naszej niezdarności, upuszczenia rannego do wody, utopiliśmy go... Zwróciliśmy się do doktor Petrynowskiej: „Pani doktor, my upuściliśmy go do wody”. A ona popatrzyła na niego i odpowiedziała: „Nie macie najmniejszych powodów do wyrzutów, to było śmiertelne trafienie”. Wie pan, w 98 procentach przyjęliśmy to do wiadomości, ale pozostał w nas osad wątpliwości, czy może chciała nas jedynie uspokoić. A może nas okłamała? I ta isierka wątpliwości siedzi w człowieku do dziś. 24 sierpnia bezpowrotnie straciliśmy nasz blok. To otworzyło Niemcom drogę do całego kompleksu PWPW.

ODLECI WAS STRACH I OGARNIE SPOKÓJ

Przed egzekucją esesmani ściągają mu buty. Potem wieszają go na jego własnej stule – Józef Stanek „Rudy”, niezłomny kapelan Powstania Warszawskiego.

Pallotyn Józef Stanek „Rudy” był jednym z 40 poległych kapelanów Powstania Warszawskiego. Jan Paweł II beatyfikował go w grupie 108 męczenników II wojny światowej. W Muzeum Powstania Warszawskiego zbudowano kaplicę pod jego wezwaniem.



Na każde zawołanie

Wybuch powstania zastaje go w Śródmieściu. „Po cywilnemu”, bez sutanny. Nie może przedostać się w ogarniętym walkami mieście na przydzielony mu posterunek.

Idzie na Koszyki, na Hożą do Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Zakonnice otworzyły tam powstańczy szpital. Ksiądz Stanek pracuje bez wytchnienia: odprawia msze, spowiada, rannym udziela sakramentu chorych – ostatniego namaszczenia. Matka Matylda Getter była wtedy przełożoną warszawskiej prowincji franciszkanek. Wspominała: „Z największą gorliwością, trzy razy dziennie odwiedzał chorych, zawsze gotów, by stawić się na każde zawołanie dnia i nocy”. „Odwaga połączona z roztropnością” – tak charakteryzował go Edward Materski, w czasie powstania jeszcze kleryk, późniejszy biskup w Radomiu.

Ale pojawia się problem: w szpitalu na Hożej księży jest trzech. Na Czerniakowie zaś ani jednego. Naczelny kapelan powstania ks. Stefan Kowalczyk „Biblia” posyła ks. Stanka na Czerniaków.

Ksiądz, co носи wodę

Czerniaków to miejsce strategiczne: łatwo tutaj przeprawić się z prawego brzegu Wisły. Sowietci 13 września zajmują Pragę. Dowództwo Armii Krajowej spodziewa się więc rychłego sforsowania rzeki przez Armię Czerwoną. Do dzielnicy rzucono Zgrupowanie „Radosław” – najliczniejszy i najbardziej elitarny oddział powstańczej Warszawy. Przez moment wydaje się, że odsiecz nadejdzie. Nocą z 15 na 16 września kilkuset polskich żołnierzy forsuje Wisłę i przedostaje się na Przyczółek Czerniakowski. W kolejnych dniach dołączają do nich następni – razem jest ich ponad tysiąc.

Ale żołnierze ponoszą wielkie straty – nie potrafią walczyć w mieście. Generał Zygmunt Berling nakazuje im ewakuację na Pragę. Na drugi brzeg Wisły płyną też pontony z rannymi powstańcami.

Ksiądz Stanek wie, że Czerniaków to będzie piekło. Matka Matylda Getter opowiadała, że „z niektórych jego słów można było zmiarkować, że przypłaci życiem pracę na tym odcinku”.

Na Przyczółku Czerniakowskim „Rudy” jest kapłanem „liniowym”: oprócz odprawiania mszy i słuchania spowiedzi nosi rannych do szpitali, pomaga ratować zasy-



Widok na Pałac Staszica. Po prawej figura Chrystusa przed spalonym kościołem św. Krzyża w Warszawie

panych gruzem. Leżący na ostrzeliwanej ulicy ranny kpr. Wojciech Zabłocki „Derkacz” będzie mu zawdzięczał życie. Ksiądz przeniesie go na własnych barkach.

Próbuje dodać odwagi walczącym. Jak w tym kazaniu: „Kochani, musimy umierać... Ale skoro pojmiecie nieodwołalność tego faktu, odleci was strach i ogarnie spokój”.

Sytuacja w dzielnicy jest coraz gorsza. Panuje głód, nie ma wody – ludzie noszą ją z Wisły pod ostrzałem. Ksiądz Stanek też nosi. Czerniaków pada 23 września.

Pfaffe – czyli klecha

„Ci w czarnych kieckach są najgorsi! To są diabyli!”, wrzeszczy esesman.

„Rudy” jest już pobity, w poszarpanej sutannie, boso.

„Dieser Pfaffe!”, drze się esesman.

Aresztują go w czasie pacyfikacji dzielnicy. Teraz wywlekają z tłumu wziętych do niewoli. Szarpia, biją, wyzywają. Ściągają buty z cholewami.

Leopold Perłowski, jeden z żołnierzy „Radosława”, wspominał: „Wszelkie obelgi i szykanowanie znosił z wielką godnością i postawą żołnierza i kapłana. Esesmani każą mu zdjąć białą-czerwoną opaskę. Odmawia”.

Ze ściany domu wystaje belka. Zrywają „Rudemu” stulę. I na tej stule go wieszają.

Egzekucji muszą się przyglądać pojmاني powstańcy i spędzeni przez Niemców

cywile. Niektórzy będą potem opowiadać, że spod szubienicy udzielił jeszcze wszystkim błogosławieństwa.

Stanisława Żórawska, mieszkanka Czerniakowa, tak opowiadała: „Żegnał wszystkich przyglądających się tej tragedii znakiem krzyża. Mógł się uratować. Trzy dni przed kapitulacją Czerniakowa odpływa na Pragę ostatni ponton z rannymi. Jest też miejsce dla ks. Stanka. «Rudy» nie chce płynąć. Oddaje je poranionemu odłamkami żołnierzowi”.

W miejscu, gdzie zostaje zamordowany, stoi kilkumetrowy krzyż z drewna. Na pomalowanym na biało obelisku umieszczono znak Polski Walczącej, a na kamieniu: imię, nazwisko i konspiracyjny pseudonim błogosławionego Józefa Stanka.

Przez zieloną granicę

Ksiądz Józef Stanek rodzi się w 1916 roku w miejscowości Łapsze Niżne na Spiszu. Religijny, służy do mszy w parafialnym kościele. Rodzina biedna, w domu ośmioro dzieci. Po śmierci rodziców Józkiem opiekuje się starsze rodzeństwo.

Trzynastoletni. Siostra zawozi go do Wadowic – księża pallotyni prowadzą tam gimnazjum dla chłopców. Po maturze idzie do nowicjatu pallotynów w Sucharach koło Nakła na Pomorzu. Znowu daleko od domu.

Kończy nowicjat. Jest w seminarium w Ołtarzewie. We wrześniu 1939 roku księża i klerycy uciekają na wschód – liczą na schronienie w domach zakonnych na Kresach. Ale 17 września na Polskę napada Armia Czerwona, kleryk Józef dostaje się do sowieckiej niewoli. Ucieknie.

W Niedzielę Palmową 1941 roku zostaje księdzem. Tydzień później odprawia prymicję w Łapszach Niżnych. Dotarł nielegalnie: musiał przekroczyć zieloną granicę Generalnego Gubernatorstwa z kolaborującą z Hitlerem Słowacją, która na początku wojny zagarnęła Spisz.

Wraca do Warszawy. Rodzinnych stron nigdy już nie zobaczy.

Pseudonim „Rudy”

W konspiracji jest od 1941 roku. Najpierw w Związku Walki Zbrojnej, potem w Armii Krajowej. Nosi pseudonim „Rudy”.

W podziemiu jest też jego rodzina. W domu w Łapszach znajduje się punkt przerzutowy kurierów polskiego ruchu oporu na Węgry i dalej na Zachód.

Na co dzień pracuje jako duszpasterz u sióstr franciszkanek na Koszykach. Studiuje nielegalnie socjologię na Tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Na zajęcia chodzi w cywilnym ubraniu.

Tak jak w tamten wtorek, 1 sierpnia 1944 roku, gdy zaskoczył go wybuch Powstania Warszawskiego.

Stanisław Zasada

Autor książki „Duch ’44. Siła ponad słabością”, Wydawnictwo WAM, 2018.

FURAŻERKA AGATONA

TA CZAPKA PRZYNOSIŁA SZCZĘŚCIE
PRZEZ 63 DNI POWSTANIA



Stanisław Jankowski „Agaton”

„Ze skrytki podłogowej w moim pokoju wyciągnąłem wisa z czterema pełnymi magazynkami, z których byłem tak dumny, kaburę i białą furażerkę z orzełkiem, którą dostałem od «Krystyny» (Hanny Woyzbun – przyszłej żony)” – tak w książce „Z fałszywym ausweitem w prawdziwej Warszawie” swoje przygotowania do Powstania Warszawskiego opisał Stanisław Jankowski „Agaton”, cichociemny i żołnierz Armii Krajowej.

Orzełek z barykady

Opowiadał jednocześnie historię furażerki, którą uszył z białego filcu wiele lat przed wojną Edward Butrymowicz, mąż Zofii – ciotki Hanny, malarz oraz profesor Miejskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Malarstwa w Warszawie. „Używał jej przy podlewaniu kwiatów w ogródku na Saskiej Kępie podczas wakacji, a zwłaszcza podczas malowania plenerów”, pisał „Agaton”. Dodał, że kiedy po oblężeniu Warszawy we wrześniu 1939 roku Butrymowiczowie wracali z ul. Frascati, gdzie przebyli oblężenie, na Saską Kępę, przy jednej z barykad znaleźli wojskowego orzełka. „«Krystyna» znała tę furażerkę i czując zbliżające się powstanie, poprosiła o nią dla mnie. Butrymowicz odszukał orzełka i przypiął go do furażerki. Choć ze względu na swój kolor przeczyła wszelkim regułom krycia się i maskowania w terenie, jadąc na zbiórkę 1 sierpnia zabrałem ją ze sobą”, wspominał „Agaton”.

W pierwszych dniach powstania por. Jankowski dowodził plutonem w Batalionie „Pięść” Zgrupowania „Radosław”, a po przejściu sztabu komendanta AK gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora” z Woli na Stare Miasto został oficerem do zleceń przy Komendzie Głównej AK. Przed wojną „Agaton” skończył w Warszawie architekturę, a we wrześniu 1939 roku został zmobilizowany do Ośrodka Artylerii Lekkiej w Wilnie. Po wkroczeniu wojsk sowieckich był internowany, ale udało mu się uciec z obozu i przedostać do Francji, a następnie do Wielkiej Brytanii.

W Szkocji przeszedł szkolenie dla przyszłych cichociemnych. W nocy z 3 na 4 marca 1942 roku został zrzucony do kraju, gdzie jako porucznik stanął na czele Wydziału Legalizacji i Techniki KG AK. Pracownicy wydziału pod jego kierownictwem przygotowywali fałszywe niemieckie dokumenty, w które wyposażano żołnierzy polskiego wywiadu oraz kurierów AK podróżujących po okupowanej Europie.

„Strzały i detonacje dochodziły ze wszystkich stron, znak, że Powstanie objęło całe miasto. Zajęliśmy na noc kuchnię w drewnianym domku grabarza, który stał tuż obok cmentarza. «Pakulski» [Leon Putowski] nie byłby sobą, gdyby czegoś nie majstrował – wręczył mi osobiście dwie gwiazdki wycięte z puszek od konserw, które pani «Anna» [Anna Bilińska] przyszyła do furażerki”, relacjonował „Agaton”.

Nosił potem tę czapkę przez całe powstanie. W nocy z 13 na 14 sierpnia przedostał się w niej między niemieckimi stanowiskami ze Starówki na Żoliborz z rozkazami dla płk. Mieczysława Niedzielskiego „Żywiciela”, a następnej nocy przeszedł do Puszczy Kampinoskiej do oddziałów Grupy „Kampinos”. Wrócił z nimi na Żoliborz i w nocy z 21 na 22 sierpnia wziął udział w nieudanym ataku na Dworzec Gdański.

Potem wraz z Komendą Główną AK przeszedł do Śródmieścia Południe, gdzie od 8 września dowodził plutonem „Łącz 59”, oddziałem osłonowym Komendy. Jak twierdził „Agaton”, furażerka przez 63 dni i nocy powstania przynosiła mu szczęście. „Utrwalił ją później na zdjęciach powstańczych por. «Kubuś» – Stefan Bałuk. Dziś znać jeszcze na niej postrzał, jaki dostałem wracając ze Stawek na Starówkę, a trzecia gwiazdka wycięta z innej blaszanej puszki od konserw niż dwie poprzednie przypomina mój awans na kapitana pod koniec Powstania”, opisywał.

Po kapitulacji powstania kpt. Jankowski wyszedł z miasta z oficerami KG AK i trafił do niemieckiej niewoli, gdzie został osobistym adiutantem gen. Komorowskiego. Po wojnie postanowił wrócić do kraju i w 1946 roku rozpoczął pracę w Biurze Odbudowy Stolicy. Jest współautorem m.in. projektu Trasy W-Z, MDM i planu generalnego zagospodarowania przestrzennego Warszawy. Uczestniczył też w opracowaniu projektów rozbudowy lub odbudowy miast m.in. w Iraku i Jugosławii. Zmarł w 2002 roku i został pochowany na Cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim w Warszawie. Dziesięć lat po śmierci cichociemnego jego syn Michał Jankowski ofiarował Muzeum Powstania Warszawskiego pamiątki po ojcu, wśród nich furażerkę. Niestety, nie zachował się na niej opisywany przez „Agatona” orzełek. Dziś czapkę można oglądać na wystawie „1000 pamiątek”, na której zgromadzono najciekawsze i najcenniejsze przedmioty przekazane do Muzeum w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Anna Dąbrowska

W obronie gazowni

Gazownia przy ulicy Dworskiej (dziś Marcina Kasprzaka) działała niemal przez całe powstanie. Była schronieniem dla rodzin pracowników, a także dla powstańców, którzy tu dotarli. Wielu znajdowało w niej przystań, gdyż pracownicy wydawali im zaświadczenia o zatrudnieniu. Niemało osób uniknęło dzięki temu rozstrzelania.

Tymczasem zagrożenie było ogromne. 8 sierpnia do przedsięwzięcia wpadła grupa esesmanów, zarządzając, by wszyscy błyskawicznie opuścili budynek. Inżynier Wacław Sobierański, kierownik jednego z wydziałów gazowni, zachował zimną krew. Oznajmił żołnierzom, że zakład pracuje na potrzeby niemieckiej armii i musi otrzymać takie polecenie od oficera, a nie od zwykłego żołnierza.

Niemcy wycofali się, rezygnując z ewakuacji.

Na teren gazowni wchodził jeszcze wielokrotnie, jednak za każdym razem udawało się ich przekonać, że zakład powinien być w stałej gotowości, pracownicy zaś muszą pozostawać na miejscu. Ukrywając się tu osoby stopniowo przedzierały się poza miasto. Dopiero 22 września padł rozkaz zamknięcia zakładu. Teren



Widok gazowni z czasów wojny

został zaminowany i przygotowany do wysadzenia, jednak udało się go ocalić.

Dramatyczne były również losy pracowników oddziału gazowni przy ulicy Ludnej. Już 3 sierpnia załoga została wyprowadzona z zakładu. Do rozstrzelania jednak nie doszło, ponieważ Niemcy obawiali się wybuchu jednego ze zbiorników gazu. Pracownicy zostali zapędzeni do punktu zbornoego przy Muzeum Narodowym,

skąd zdołali uciec w ciągu kolejnych dni. 13 września skierowano załogę gazowni do prac przy rozbieraniu ulicznych barykad. Dzięki temu mogła nieść pomoc wielu rannym i chorym z płonącego szpitala przy ulicy Czerniakowskiej. Część załogi Niemcy popędzili do obozu w Pruszkowie. Ci, którym nie udało się uciec, trafili do obozów koncentracyjnych.

RS

Liczyliśmy na przybycie naszej brygady

Dlaczego zorganizowana tak wielkim nakładem sił i środków brygada spadochronowa, której celem było wsparcie powstania zbrojnego w kraju, od początku istnienia nie miała szans na jego realizację?

Sztab Naczelnego Wodza w Londynie 26 lipca 1944 roku dostał meldunek Komendy Głównej Armii Krajowej o decyzji rozpoczęcia w najbliższych dniach powstania w Warszawie. Dowództwo AK liczyło na pomoc, zwłaszcza oczekiwało na planowany przylot i desant 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Niestety, nikt z władz w Londynie nie powiadomił komendanta głównego AK, że to już nieaktualne, ponieważ brygada została oddana pod brytyjskie zwierzchnictwo. Jej dowódca gen. bryg. Stanisław Sosabowski na wieść o powstańczych planach postawił w stan gotowości jedną kompanię spadochronową. Liczył na to, że Anglicy pozwolą przynajmniej na ten symboliczny gest i przerzucą oddział nad Warszawę. Na próżno. 13 sierpnia rozgoryczeni żołnierze na znak protestu odmówili przyjęcia posiłku. Pierwszy raz surowy dowódca nie wyciągnął żadnych konsekwencji dyscyplinarnych – całkowicie solidaryzował się ze swymi podwładnymi. Dlaczego zorganizowana tak wielkim nakładem sił i środków brygada spadochronowa, której celem było wsparcie powstania zbrojnego w kraju, od początku swego istnienia nie miała szans na jego realizację?

Wsparcie dla powstańców

Postulaty i plany powstania powszechnego w okupowanej Polsce zostały bardzo szybko podjęte w rządowych i wojskowych gremiach emigracyjnych. Już w pierwszej instrukcji z 4 grudnia 1939 roku, powołującej Związek Walki Zbrojnej, wspomniano, że ostatecznym celem podziemnej armii w Polsce ma być powstanie zbrojne na tyłach armii okupacyjnych. Wśród osób, które już wtedy zdawały sobie sprawę, że będzie to trudne, byli komendant główny ZWZ gen. broni Kazimierz Sosnkowski oraz dowódca na okupację niemiecką ZWZ gen. dyw. Stefan Rowecki. Obaj podkreślali w swych

rozkazach i instrukcjach, że do zbrojnego wystąpienia trzeba się należycie przygotować. Od razu też zaczęto się zastanawiać nad sposobem i możliwościami pomocy dla planowanego powstania ze strony polskiej armii na Zachodzie, a przede wszystkim aliantów. Jako pierwsi z konkretnymi pomysłami pojawili się w sztabie Naczelnego Wodza dwaj kapitanowie saperów Jan Górski i Maciej Kalenkiewicz. Obaj prymusi Wyższej Szkoły Wojennej proponowali wesprzeć przyszłe powstanie operacją powietrznodesantową. Początkowo ten śmiały plan został zignorowany, ale młodzi oficerowie z uporem o nim przypominali w sekretariacie sztabu, tak że w końcu zostali skierowani do pracy w biurze do spraw kraju gen. Sosnkowskiego.

4 Brygada Kadrowa Strzelców rozpoczęła szkolenie spadochronowe, w którym wykorzystano doświadczenia przedwojennych polskich instruktorów. 23 września 1941 roku przeprowadzono pierwsze pokazowe ćwiczenia bojowe brygady, a 9 października została ona rozkazem Naczelnego Wodza przemianowana na 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową. W tym samym czasie zaczęto szkolić w niej skoczków, którzy mieli stanowić wsparcie dla Armii Krajowej (z czasem nazwano ich cichociemnymi). Jednocześnie Sikorski zastrzegł, że brygada jest przeznaczona wyłącznie do walki w kraju i nie podlega dowództwu brytyjskiemu.

Mimo tych pierwszych sukcesów w organizowaniu polskich oddziałów spadochronowych, a zatem także mimo efektywniejszej pomocy udzielanej podziemiu w kraju w postaci zrzutów wyposażenia, przede wszystkim jednak cichociemnych przeszkolonych w różnych dziedzinach walki konspiracyjnej, pozycja pionierów polskiego spadochroniarstwa na Wyspach Brytyjskich zaczęła w Sztacie NW słabnąć.

Dyplomatyczne zabiegi

Tymczasem polskie władze nadal starały się zdobyć u aliantów akceptację dla powstańczych planów. Gen. Sikorski w czasie wizyty w Stanach Zjednoczonych na początku 1943 roku spotkał się m.in. z szefem lotnictwa gen. Henrym Arnoldem, któremu przedstawił plany wsparcia polskiego powstania za pomocą masowych nalotów bombowych i desantów powietrznych. Amerykanin unikał jednak jakichkolwiek deklaracji w tej sprawie. Podobnie niewiele zyskał przedstawiciel polskiego dowództwa przy sztabie alianckim (Combined Chiefs of Staff – CCS) płk Leon Mitkiewicz, który z polecenia Sikorskiego starał się, by planowane powstanie w Polsce alianci oficjalnie włączyli do swoich planów strategicznych. W przygotowanym memoriale, który 2 lipca 1943 roku został złożony w CCS, zaznaczył, że jeszcze przed wybuchem powstania na tyłach wojsk niemieckich trzeba dostarczyć AK około 750 t uzbrojenia i zaopatrzenia, a następnie przerzucić na tereny już opanowane przez powstańców całość Polskich Sił Powietrznych wraz z brygadą spadochronową. Następnie przez 20 dni od rozpoczęcia powstania należało wykonywać loty z około 600 t zaopatrzenia dziennie. Resztę uzbrojenia i sprzętu dostarczono by po przeprowadzeniu desantu w rejonie Bałtyku.

23 września 1943 roku płk Mitkiewicz dostał odpowiedź na memoriał, która kończyła się konkluzją, że „Komitet Szefów Sztabów nie widzi w obecnej chwili sposobu, w jaki można by dostarczyć materiał wojenny zapotrzebowany przez Armię Krajową”. Nieoficjalnie przewodniczący CCS adm. William D. Leahy dał Mitkiewiczowi jasno do zrozumienia, że alianci muszą się liczyć ze stanowiskiem sowieckiego sojusznika i obawiają się, czy dostarczona AK broń nie zostanie użyta do walki z Armią Czerwoną. Mimo tej porażki polskie władze

NAJSZCZĘŚLIWSZY DZIEŃ W ŻYCIU...

Z Marią Kowalewską, żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych, rozmawia Aleksandra Wojdyło.

Dlaczego poszłaś do powstania?

Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, miałam 17 lat i ukończone trzy klasy gimnazjalne. Moja starsza siostra Ula знаła Mieczysława Szemelowskiego „Miłosza”. To dzięki niemu trafiła do Narodowych Sił Zbrojnych. Ja również przez niego trafiłam do konspiracji. I wiosną 1943 roku przed nim składałam przysięgę. Przyjęłam pseudonim „Myszka”. Byłam przeszkoloną sanitariuszką. Moim obowiązkiem było gromadzenie opatrunków. Z uwagi na to, że nasz ojciec miał gabinet dentystyczny, środków opatrunkowych miałyśmy dużo. Z siostrą zgłosiłyśmy się do szpitala polowego na Lesznie. Powiedziałyśmy, że jesteśmy sanitariuszkami z Samodzielnego Batalionu im. Brygadiera Czesława

Maczyńskiego i nas przyjęli. Wybuch Powstania Warszawskiego był dla mnie najszczęśliwszym dniem w życiu. Dlaczego? Mogłam założyć białą-czerwoną opaskę. Tego się nie da zapomnieć. W oknach wisiały polskie flagi. Byliśmy spragnieni tego widoku. Ludzie byli radośni nadzieją, że Warszawa w końcu będzie wolna.

Które wspomnienia z tego okresu towarzyszą Ci do dzisiaj?

Pamiętam wyraźnie rozstrzelani więźniów na Pawiaku. Widok mężczyzn powieszonych na balkonach. Masowe łapanie, uczucie wszechobecnej grozy. Ale najbardziej wstrząsającym przeżyciem dla mnie była sytuacja, kiedy mały chłopiec próbował uciec z getta przez dziurę w mu-

rze. Zauważył go niemiecki żołnierz, wziął chłopczyka za nogi i roztrzaskał o ścianę... Tak właśnie Niemcy traktowali Żydów. Zostały ze mną do dziś obrazy z rzezi Woli. Część rannych udało się ewakuować na Stare Miasto. Zostali tylko ciężko ranni. Do szpitala wpadli Ukraińcy w niemieckich mundurach. Pijani. Zaczęli mordować bezbronnnych. Traktowali to jak zabawę.

Po kapitulacji powstania, podczas „marszu śmierci” do Pruszkowa, z naszej kolumny wyciągano młodych mężczyzn i zabijano. Potknęłam się o płonące zwłoki ludzkie. Nie zapomnę, jak przez żebra wydobywał się dym palących się wnętrzności.

Twoja rodzina zapłaciła wysoką cenę za udział w konspiracji...

W naszym mieszkaniu na Lesznie, gdzie tata miał drugi gabinet lekarski, ukrywał się Roman Litwin, cichociemny i narzeczony mojej siostry Basi. Pewnego wieczoru wpadli tam gestapowcy. Zabrali ojca, siostrę i Romana. Po przesłuchaniach na Pawiaku i w alei Szucha, wywieziono ich do Auschwitz. Tam po trzech miesiącach ojciec zmarł. Moja siostra, która знаła język angielski i niemiecki, pracowała w obozie. Mama wysyłała paczki Romanowi Litwinowi do obozu jenieckiego w Spandau. Jedną z nich wróciła. A gestapo znów szukało u nas Romana. Po wojnie dowiedzieliśmy się, że uciekł, gdy podczas transportu do obozu wywiązała się strzelanina. Szukaliśmy go później przez Czerwony Krzyż. Nie znamy do dziś jego losu. Ojciec zginął,

nie chciały zrezygnować z planów powietrznego wsparcia powstania w kraju. Dowództwo polskiej brygady spadochronowej optymistycznie podchodziło do przeprowadzenia większej operacji powietrznodesantowej. Sosabowski od połowy grudnia 1943 do połowy lutego 1944 roku przebywał w USA, gdzie zapoznał się z organizacją amerykańskich wojsk powietrznodesantowych. Amerykanie przekonali generała, że samoloty transportowe Douglas C-47 mogą, po zamontowaniu dodatkowych zbiorników paliwa, przewieźć spadochroniarzy do Polski i następnie wrócić do Wielkiej Brytanii bez potrzeby lądowania na sowieckich lotniskach. Po powrocie do Londynu Sosabowski zameldował o tym Naczelnemu Wodzowi, gen. broni Kazimierzowi Sosnkowskiemu.

Wydawało się, że znalazło się wyjście z patowej sytuacji. W rzeczywistości taki przelot dakotami byłby możliwy, ale tylko po zapewnieniu pełnej osłony myśliwskiej i bez dopinania szybowców, do których ładowano sprzęt artyleryjski, samochody i amunicję. Bez tego brygada traciła właściwie całą swoją wartość bojową. Co gorsza, okazało się, że zasięg dakot jest znacznie przeszacowany i nie wynosi, jak podawano, 3 tys. km, lecz jedynie dwa razy po 800 km.

Batalia o spadochroniarzy

Zanim polscy spadochroniarze ruszyli do walki na froncie, między polskimi i brytyjskimi dowódcami doszło do prawdziwej batalii o jej przeznaczenie. Brytyjczycy swoją 1 Dywizję Powietrznodesantową organizowali równolegle z tworzeniem polskiej brygady, czyli od jesieni 1941 roku Sosabowski już podczas pierwszego spotkania z dowódcą dywizji gen. Frederickiem „Boy” Browningiem w listopadzie 1941 roku musiał bronić się przed sugestiami wcielenia brygady w struktury brytyjskie. 17 maja 1943 roku, w czasie kolejnej wizyty u polskich spadochroniarzy, gen. Browning zaproponował Polakowi utworzenie polsko-brytyjskiej dywizji powietrznodesantowej i objęcie dowództwa. Była to oferta bez precedensu, gdyż Brytyjczycy nie mieli w zwyczaju oddawać swych żołnierzy pod bezpośrednie obce dowództwo. Ku zaskoczeniu Browninga płk Sosabowski odmówił, a swą decyzję tłumaczył przeznaczeniem brygady do walki w Polsce.

Od początku 1944 roku pełną parą ruszyły przygotowania do otwarcia drugiego frontu w Europie Zachodniej. 13 marca inspekcję polskiej brygady spadochronowej przeprowadził dowódca 21 Grupy Armii gen. Bernard Montgomery. Po wyjeździe z brygady zdecydował, że ta doborowa jednostka musi przejść pod brytyjskie dowództwo i walczyć w czasie nadchodzącej ofensywy. Memoriał w tej sprawie przesłano do Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, i premiera Stanisława Mikołajczyka. Po długich

debatach Sosnkowski zgodził się przekazać zwierzchnictwo nad brygadą, ale pod kilkoma warunkami. Zaznaczył m.in., że „brygada będzie natychmiast wycofana [z frontu] i oddana do rozporządzenia Naczelnego Wodza, gdy powstanie możliwość lub prawdopodobieństwo użycia jej na terenie Polski, ocena tego momentu będzie należeć do władz polskich”. Ponadto Sosnkowski zobowiązywał Brytyjczyków do „dołożenia wszelkich starań dla zapewnienia odpowiedniej liczby samolotów na przewiezienie brygady do Polski w zamian za naszą zgodę na użycie jej podczas inwazji”. Marszałek Montgomery w typowy dla siebie sposób odpowiedział, że polskie władze powinny mieć większe zaufanie do brytyjskiego dowództwa i warunki odrzucił.

Wielkie rozczarowanie

6 czerwca 1944 roku, w dniu lądowania aliantów w Normandii, gen. Sosnkowski, wobec groźby wstrzymania dostaw dla brygady, oddał ją pod brytyjskie zwierzchnictwo. Jednym z największych dramatów wynikających z tej decyzji, oprócz użycia doborowej polskiej jednostki w złe zaplanowanej operacji „Market Garden”, było to, że dowództwo AK w kraju nie zostało o tej zmianie poinformowane i w planach powstania zbrojnego nadal uwzględniało wsparcie ze strony brygady.

Nadzieje związane z 1 Samodzielną Brygadą Spadochronową, która miała udzielić pomocy powstańczej Warszawie, dobitnie wyrażają słowa syna jej dowódcy, por. Stanisława Janusza Sosabowskiego „Stasinka”, jednego z dowódców powstańczych: „Od pierwszego dnia walki liczyliśmy na przybycie naszej brygady i jej pomoc w nierównej walce. Nadzieję umacniały dostawy broni i zaopatrzenia, zrzucone z samolotów przylatujących z Anglii i Włoch. 18 września, wczesnym słonecznym popołudniem, usłyszeliśmy z oddali odgłos ciężkich bombowców. Nadlatywały falami nad płonące miasto. Całe niebo rozkwitło niezliczonymi spadochronami. Pomimo nieprzyjacielskiego ostrzału ludzie wybiegli na ulice, krzycząc z radości: «Przybywają! Nasi spadochroniarze przybywają!». Potem przyszło wielkie rozczarowanie, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że to tylko ogromna dostawa broni i zaopatrzenia, w większości, niestety, zrzucona nad częścią miasta zajętego przez Niemców!». Jak pisze „Stasinek”, ich nadzieje na przybycie brygady rozwiały się zupełnie, kiedy się dowiedzieli, że bierze ona udział w desancie alianckim pod Arnhem. Tylko ponad 300 polskim spadochroniarzom było dane desantować się do kraju, gdzie wspierali działania Armii Krajowej jako cichociemni. Reszcie polskiej brygady spadochronowej przyszło walczyć pod niebem Holandii.

Piotr Korczyński



plut. Ewa Matuszewska

MAMY WOLNOŚĆ, WIĘC WARTO

74 lata temu w Powstaniu
Warszawskim zginęła
plut. Ewa Matuszewska,
sanitariuszka w Pułku
Armii Krajowej „Baszta”.

25-letnia Ewa była jedyną córką płk. Ignacego Matuszewskiego, współtwórcy wojskowego wywiadu II RP.

Warszawa, ranek 26 września 1944 roku. Trwa niemieckie natarcie na pozycje powstańcze na Mokotowie, m.in. na placówkę przy alei Niepodległości 117. Wiele jej obrońców jest rannych, brakuje amunicji. Około 18.00 dowódca obrony kpr. pchor. Antoni Łukawski „Ładzi” z Pułku „Baszta” wydaje rozkaz opuszczenia budynku.

Niestety najciężej ranni muszą zostać w piwnicznym punkcie sanitarnym. „Dlatego rozkazu nie posłucha plut. «Mewa», która jako sanitariuszka postanawia pozostać z rannymi”, opowiada Katarzyna Utracka, historyk z Muzeum Powstania Warszawskiego. Gdy Niemcy zajmują kamienicę, dziewczyna zostaje zamordowana razem ze swoimi podopiecznymi.

Studiowała medycynę, działała w harcerstwie, była zastępową 3 Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej, uprawiała szybownictwo, narciarstwo i koszykówkę. „To była kobieta niezwykle silna i mądra, energiczna, a jej pasją było niesienie pomocy innym”, opowiada Utracka.

Matuszewska działała w konspiracji. Najpierw należała do służby sanitarnej Szarych Szeregów, a od 1943 roku była żołnierzem i sanitariuszką w 3 kompanii oddziału Agat, czyli późniejszym Batalionie Armii Krajowej „Parasol”.

Po wybuchu powstania nie udało się „Mewie” dotrzeć do swojego oddziału. „Walczyła na Mokotowie jako komendantka punktu sanitarnego w Pułku «Baszta»”, mówi historyk z MPW. Dziewczyna zorganizowała szpital polowy na tyłach powstańczej placówki Alkazar, w budynku na rogu alei Niepodległości i ulicy Odyńca. Gdy linie powstańcze przesunęły się do ulicy Szustra, tam przeniosła punkt sanitarny.

„Zawsze spokojna, uśmiechnięta i cierpliwa, niesie niezmordowanie pomoc rannym. Tylko sobie znanyymi sposobami stara się o potrzebne lekarstwa i niezbędne narzędzia lekarskie. Szkoli inne dziewczęta, jest wszędzie”, tak Ewę opisywał Tadeusz Kubalski „Zbroja” w wydawanym w Londynie „Studium Polski Podziemnej”.

„To, co przeżywamy na Mokotowie, jest piekłem, ale mamy wolność, więc warto”, pisała z kolei Ewa w liście wysłanym pocztą polową do swoich krewnych.

Gdy w styczniu 1945 roku matka Ewy, która też uczestniczyła w powstaniu, dotarła do alei Niepodległości, zwłoki córki leżały jeszcze na schodach do piwnicy. Martwa dziewczyna trzymała w dłoniach bandaż, którego nie zdążyła użyć.

AD

bo ktoś doniósł, że udzielał schronienia cichociemnym.

Co udział w tak ekstremalnych wydarzeniach zmienia w życiu człowieka?

Cała wojna to tragiczne, ekstremalne wydarzenie. Każdego dnia trzeba walczyć o przeżycie swoje i innych. Docenia się wartość życia, przyjaźni, ale i radości ze zwyczajnych codziennych chwil.

Czym dla Ciebie jest niepodległa Polska?

To moja ojczyzna, mój dom. Dla Polski walczyliśmy w powstaniu i dla Polski pracowaliśmy po wojnie. Dzisiaj rośnie nam pokolenie, które nie zaznało takich przeżyć. Powinno jednak być świadome, jak wielkim cierpieniem Polaków była okupiona droga do odzyskania wolności. Młodzi muszą takie rzeczy wiedzieć. Polak musi znać swoją historię i wiedzieć, co ukształtowało nasz kraj, oraz pielęgnować pamięć o ludziach, którym zawdzięczamy wolność.

(Wywiad zrealizowany we współpracy z redakcją tygodnika „Niedziela” – „Głos z Torunia”)

MARIA BIEDERMANN-KOWALEWSKA

„Myszka”, żołnierz NSZ (ur. w 1927 r.), sanitariuszka w Powstaniu Warszawskim. Członek Korpusu Weteranów Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej, Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej oraz Narodowych Sił Zbrojnych. Matka chrzestna sztandaru Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Odznaczona m.in. medalem „Za Zasługi dla Miasta Torunia”, a także przez prezydenta RP Orderem Krzyża Niepodległości.



MUNDUR DLA BOHATERÓW

Na przełomie 2015 i 2016 roku w Wojskowym Przedsiębiorstwie Handlowym podjęto prace nad przygotowaniem wzoru munduru dla weteranów walk o niepodległość Rzeczypospolitej. Była to odpowiedź na zapotrzebowanie środowiska kombatanckiego, którego przedstawiciele dotychczas nosili elementy współczesnych mundurów Wojska Polskiego.

Inspiracją do stworzenia spójnego, jednolitego uniformu była decyzja państwa polskiego z okresu II RP, kiedy to doceniono sędziwych bohaterów Powstania Styczniowego i zdecydowano, że powstańcy będą nosić wyróżniający się i nobilitujący mundur. Aby uwzględnić dumną tradycję munduru żołnierza polskiego, w Wojskowym Przedsiębiorstwie Handlowym konsultacje i intensywne prace nad projektem trwały prawie rok.

Ostateczny wzór to połączenie historycznego munduru oficerskiego wz. 1936 żołnierzy II Rzeczypospolitej z elementami współczesnego umundurowania Wojska Polskiego. Umundurowanie zostało przy tym uproszczone. Aby było wygodne w noszeniu, zamiast tradycyjnych bryczesów i oficerów zaproponowano proste spodnie oficerskie i skórzane półbuty, wykorzystując przy tym współczesne technologie i materiały. Cechami charakterystycznymi kurtki oficerskiej wz. 36 są patki w kolorze granatowym z żółtymi wypustkami wraz z wyhaftowanym srebrnym wężym oficerskim, umieszczone na kołnierzu w formie stójki. Wykorzystano także repliki guzików wojskowych wz. 28. W pierwotnym projekcie kurtki oficerskiej na lewej piersi umieszczono również ryngraf zgodny z archiwalną ikonografią, nawiązujący do tradycji noszenia w czasie walk wyzwoleńczych wizerunków Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej w zależności od przynależności do oddziałów.

Kurtka oficerska

Kurtka jednorzędowa, zapinana z przodu na siedem guzików mundurowych, w ramionach szeroka, w pasie lekko wcięta, w biodrach dopasowana. Na piersi i po bokach naszyte cztery kieszenie z klapami, zapinane na małe guziki. U dołu na bocznych szwach pleców kurtka posiada dwa rozporki, krawędziami zachodzącymi na siebie, aby się nie rozwierały. Kołnierz stojąco-wykładany, zapinany z przodu na dwie pary haftek. Naramienniki (pagony) zapinane na małe guziki, rękawy dość szerokie, dwusuwowe, z rozporkami od strony tylnych szwów, sięgające przy swobodnie zwisa-

jących rękach do nasady kciuka. Długość kurtki mierzona przez środek pleców tak, aby dolne krawędzie przy pozycji siedzącej dochodziły do płaszczyzny siedzenia.

Na kołnierzu kurtki mundurowej naszyte patki w kolorze granatowym, haftowane srebrnym wężym oficerskim, wypustki koloru żółtego.

Na naramiennikach kurtek i płaszczy oznaki stopni wojskowych, wyszywane srebrnym bajorkiem.

Płaszcz

Płaszcz szyty według wz. 1936, jednolity dla wszystkich żołnierzy oraz wszystkich stopni. Typ płaszcza jednorzędowy, zapinany z przodu na sześć guzików płaszczowych, z których piąty od góry umieszczony był lekko poniżej pasa. Długość płaszcza do 35 cm od ziemi. Płaszcz taliowany od góry. Na przednich połach, na wysokości bioder dwie kieszenie o skośnych przecięciach. Z tyłu płaszcza znajduje się rozporek, sięgający od krawędzi wwyż na 32-42 cm w zależności od sylwetki. Ponadto na wysokości talii umieszczone jest dwuczęściowe pęto spinane dwoma guzikami. Guziki metalowe oksydowane na kolor starego srebra, z orłem wz. 1928. Kołnierz wykładany, zapinany na jedną parę haftek. Na przednich rogach naszyte ukośnie barwy broni, paski w kolorze granatowo-żółtym o szerokości 0,5 cm. Płaszcz uszyty z sukna.

Czapka

Czapka rogatywka z wymiennym otokiem w kolorze granatowym. Okucia daszka czapki matowe, koloru starego srebra.

Tworząc unikatowy mundur dla członków Korpusu Weteranów Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej, czuliśmy się zobowiązani wobec bohaterów Niepodległej, tym silniej, że w murach siedziby Wojskowego Przedsiębiorstwa Handlowego zostało opowiedzianych wiele powstańczych historii. Przedsiębiorstwo mieści się bowiem w zabytkowym budynku dawnego Banku Polskiego, który 1 sierpnia 1944 roku znalazł się w ogniu walk Powstania Warszawskiego.



Przywilej noszenia wężyka

Wszyscy żołnierze, którzy służyli w Legionach przed 10 kwietnia 1918 roku, otrzymali przywilej noszenia srebrnego wężyka na kołnierzu. Szeroki wąż był zarezerwowany dla generałów, nieco węższy dla oficerów, wąski zaś dla żołnierzy szeregowych.

Według rozporządzenia z dnia 25 kwietnia 2017 roku elementami ubioru mundurowego są:

- 1 kurtka oficerska wz. 36 koloru khaki z patkami w kolorze granatowym z żółtymi wypustkami z wyhaftowanym srebrnym wężym oficerskim;
- 2 spodnie wyjściowe albo spódnica koloru khaki;
- 3 płaszcz oficerski wz. 36 koloru khaki z granatowo-żółtymi paskami na kołnierzu;
- 4 czapka rogatywka z otokiem w kolorze granatowym albo furazerka wyjściowa dla kobiet;
- 5 koszula koloru białego ze stójką;
- 6 półbuty wyjściowe albo półbuty damskie dla kobiet;
- 7 rękawiczki dziane koloru białego;
- 8 szalik zimowy koloru khaki;
- 9 rękawice zimowe pięciopalcowe;
- 10 sznur galowy;
- 11 oznaki stopni.

AM

(Artykuł przygotowany we współpracy z Wojskowym Przedsiębiorstwem Handlowym Sp. z o.o.)



Polska Zbrojna

Projekt z jubileuszowej serii edukacyjnej „Drogi do niepodległości” został przygotowany przez zespół Wojskowego Instytutu Wydawniczego pod redakcją Anny Putkiewicz.

Niektóre teksty umieszczone w numerze okazyjnym były publikowane w wydawnictwach WIW.

Opracowanie graficzne:

Wydział Składu Komputerowego i Grafiki WIW

Marcin Dmowski (kierownik), Marcin Izdebski (opracowanie graficzne)

Zdjęcia: Muzeum Powstania Warszawskiego, Alicja Siałkowska, arch. Marii Kowalewskiej,

Michał Niwicz, koloryzacja zdjęć archiwalnych: Mirosław Szponar, PWPW

Redakcja i korekta: Wydział Opracowania Stylistycznego WIW

Marta Sachajko (kierownik)

Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne Sp. z o.o., ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa

wiw

Wojskowy Instytut Wydawniczy

Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

Dyrektor: Maciej Podczaski

Miesięcznik „Polska Zbrojna”

Redaktor naczelny: Izabela Borańska-Chmielewska

Portal www.polska-zbrojna.pl

Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”

Redaktor naczelny: Anna Putkiewicz

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

Mecenasi wydania specjalnego „Polski Zbrojnej”

PGZ

POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA



POLSKA
SPÓŁKA GAZOWNICTWA

ROZGRZEWAMY
POLSKIE SERCA

Fundacja PGNiG

WPH
WOJSKOWE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLOWE